

Zapiski T. Gumińskiego - 28.09-4.10.1976

Wtorek, 28 września 1976 r.

Załatwianie formalności w związku z wyjazdem naszym do Budapesztu. Kiedy przyszło do wymiany polskiej waluty na węgierską, kasjerka w biurze wymiany PTTK oświadczyła mi, że nie posiada forintów. Nie byłem pierwszym, który otrzymał taką odpowiedź. Dopiero, kiedy wzburzony pobiegłem do urzędnika załatwiającego sprawy turystyki indywidualnej, ten zapewnił mnie, że następnego dnia otrzymam forinty. Okazało się, że BORT - PTTK odmawia wymiany waluty tym tylko, którzy nie korzystają z jego płatnych usług. Bezprawne zmuszanie do korzystania z biur podróży.

Urzędnik załatwiający mnie prosił, abym po powrocie dostarczył poświadczenie węgierskiego biura podróży, iż korzystałem z noclegów. Są widocznie tacy, którzy ponoszą opłaty tylko dla tego, aby zdobyć forinty na różne kombinacje handlowe.

Czwartek, 30 września 1976 r.

Wyjeżdżamy z Legnicy do Katowic. Tam mamy się przesiąść do pociągu jadącego z Warszawy do Budapesztu. Nosi on miano historyczne „Batory”. Marylka udała się do kawiarni dworcowej „Warsu”. Była tam wprowadzicie herbata i kawa, ale do zjedzenia tylko...szynka. Brakowało bułek i chleba, natomiast na ladzie leżały dwa brudne fartuchy obsługi.

Wyszedłem na miasto. W sklepach spożywczych czynnych do g. 19 lub nawet dłużej nie było żadnego pieczywa, ani ciastek. Spotykałem natomiast osoby próbujące zrealizować kupony na cukier. Odsyłano ich z niczym ze sklepu do sklepu. W jednym z nich znalazłem tabliczkę z napisem „Stoisko nieczynne z powodu braku personelu”.

Przed jedynym na dworcu w Katowicach kiosku z pamiątkami, jak zdążyliśmy w ciągu 4 godzin zaobserwować kolejka stale liczyła do 30 osób. Wśród pasażerów i przechodniów ulicznych nie brakowało natomiast zamroczonych alkoholem.

Pociąg budapesztański nadszedł z Warszawy z półtoragodzinnym opóźnieniem. Mieliśmy więc już od przekroczenia granicy dezorganizować ruch na kolejach naszych południowych sąsiadów. Wagony były przepełnione. Uderzał duży procent młodych ludzi wśród pasażerów. Wygląd ich, wyraz twarzy nie wskazywał na głębsze zainteresowanie kulturą kraju, do którego zmierzali.

Piątek, 1 października 1976 r.

Przy przekroczeniu granicy najpoważniej wyglądała praca polskich funkcjonariuszy. Ani czescy, ani węgierscy nie byli zaopatrzeni w skorowidz osób podejrzanych, polscy natomiast sprawdzali tam każde nazwisko. Wszyscy inni ograniczali się do stwierdzenia posiadania dowodu osobistego przez pasażera i odcisnięcia w nim swej pieczętki. Bagaży nikt nie kontrolował.

W Budapeszcie wylądowaliśmy na dworcu Keleti. Tutaj w kawiarni śniadanie złożone z herbaty i słodkiego, bardzo smacznego pieczywa. Ceny naturalnie wyższe grubo od obowiązujących w Polsce. Pierwsze, co nas uderzyło na dworcu kolejowym, to wózki do przewożenia bagażu oddane do bezpłatnego użytku podróżnych. Tragarzy tutaj nie ma.

Kwaterę przeznaczono nam w mieszkaniu rodziny robotniczej. Bardzo uprzejmym okazał się kierowca. Nie ograniczył się do wysadzenia nas przed domem. Było już zupełnie ciemno, ale sprawdził na liście lokatorów, czy przywiózł nas pod właściwy adres. Pomógł wnieść walizki z udziałem syna gospodarza, który wybiegł na nasze spotkanie.

Nasi gospodarze okazali się ludźmi prostymi, nie znającymi żadnego obcego języka. Córka pochwaliła się

wprawdzie, że w szkole uczy się jęz. rosyjskiego, ale na jakieś pytanie błahe Marylki, chcąc odpowiedzieć musiała się uciec do szkolnego podręcznika. Nie długo trzeba było czekać, aby się zorientować, że głową faktyczną rodziny jest matka. Dzielną kobietą, bo urodziła i wychowała pięcioro dzieci, czym zaraz na wstępie słusznie się pochwaliła. Na Węgrzech rzadki to wypadek.

Sobota, 2 października 1976 r.

Ranek dopiero pozwolił nam się zorientować, jaki charakter ma dzielnica, do której trafiliśmy. Jest zabudowana w dużym stopniu domami parterowymi, jednorodzinnymi.

Największym zaskoczeniem dla mnie był sklep rzeźnicki. Był on zaopatrzony w wędliny i mięso w największym wyborze, jakiego nie oglądałem nigdy w kraju na przestrzeni lat 1950-1976. Wszystkie wyroby, mięso – wołowe, wieprzowe, drób tchnęło świeżością i apetycznym wyglądem. Nie brakowało także szynki. Przed ekspedientką leżały wędliny już pokrojone na plasterki. Usprawniało to obsługę klientów. Jeżeli ktoś jednak życzył sobie ukrojenia np. szynki ze wskazanej przez siebie sztuki, ekspedientka bez słowa to uwzględniała. Oczywiście nie było żadnej kolejki.

Oprócz mięsa i wędlin nabyć można było także chleb, bułki, ogórki kiszzone i konserwowe, musztardę oraz napoje chłodzące (Pepsi-Cola, Orange). Dla osób pragnących się posilić na miejscu były stoliki barowe. Mogli oni zamówić boczek gotowany, także szynkę, lub obydwie artykuły pieczone. Trafiły one do rąk zamawiającego bezzwłocznie, ponieważ stale pewna ilość znajdowała się na podręcznej kuchence.

Niedziela, 3 października 1976 r.

Odbyliśmy pieszo spacer po najbliższym bazyliki moście na drugą stronę Dunaju, aby ocenić panoramę obydwóch brzegów rzeki. Zwiedziliśmy Muzeum Poczty mieszczące się w kamienicy mieszczańskiej z końca XIX w. Należała ona do bogatego kupca. Do dawnego jego mieszkania położonego na Pietrze prowadziła klatka schodowa o charakterze niemal pałacowym. Wnętrza stanowiły doskonały przykład kultury i zamiłowania do stylów historycznych właściwego drugiej połowie XIX w. Jak się okazało placówka muzealna od niedawna znalazła dopiero tutaj swoją siedzibę. Zbiory wiążą się głównie z historią techniki łączności. Najnowsza zdobycz Muzeum reprezentował telewideoon produkcji japońskiej (połączenie telefonu z telewizorem) umożliwiający wzajemne widzenie się rozmawiających. Według oprowadzającego nas pracownika jest to pierwsze tego rodzaju urządzenie na Węgrzech. Jego koszt wyniósł ok. 300 tys. forintów.

Poniedziałek, 4 października 1976 r.

Ze względu na niedostępność w tym dniu muzeów budapesztańskich zdecydowaliśmy się na wycieczkę w okolice. Ze stacji koło mostu Arpada wsiedliśmy do pociągu kolejki podmiejskiej biegnącej wzdłuż Dunaju w kierunku północnym ze stacją końcową w miejscowości Szentendren (św. Andrzeja).

Spostrzeżenia z autobusu. Konduktor był wyposażony w kasę automatyczną, podobna do używanych w naszych sklepach. Za bilet służył odcinek taśmy, na którym wybita była opłata za przejazd i data. Jeżeli na przystankach mijanych nie było pasażerów, a nikt z jadących nie nacisnął guzika sygnalizacji świetlnej znajdujący się nad drzwiami wyjściowymi, to autobus w ogóle nie zatrzymywał się. Z reguły otwierały się tylko te drzwi, nad którymi naciśnięto guzik sygnału. Ten system wychodzi przede wszystkim na zdrowie silnika, zwiększa bezpieczeństwo pasażerów, którzy mogą być narażeni przez otwieranie wszystkich drzwi. W okresie zimowym zapobiega niepotrzebnemu wyziębieniu wnętrza. Drzwi zamykane automatycznie nie powodują poza tym hałasu powtarzającego się u nas na każdym przystanku.

Odwiedziliśmy winiarnię mieszczącą się w piwnicy jednej z kamienic. Jak zauważyliśmy, wielu Węgrów pije wino zmieszane z wodą sodową. Herbata jako napój nie miała tu uznania. Napić się można było tylko czarnej kawy.